

Jak wyjść z sytuacji bez wyjścia

USA będą uciekać się do wszystkich możliwych sposobów, aby psuć stosunki chińsko-rosyjskie

Grzegorz W. Kołodko

Kiedyś odpowiedzialni politycy wprawdzie uzgadniali stanowiska w poważnych sprawach, aby potem komunikować je publicznie. Teraz wprawdzie mizdrzą się przed kamerami telewizyjnymi i wypisują swoje mądrości na portalach internetowych, a dopiero potem zastanawiają się, jak wyjść z twarzą z bałaganu, który spowodowali. Kreml nie potrafiłby tak zaszkodzić członkom NATO, jak sami sobie szkodzą. Jakąż radość ten euroatlantycki zgiełk musi wywoływać w Moskwie.

Alaska to nie Jałta

Amerykański sekretarz obrony Pete Hegseth na lutowej konferencji w Monachium słusznie stwierdził: „Musimy zacząć od uznania, że powrót do granic Ukrainy sprzed 2014 r. jest nierealnym celem. (...) Dążenie do tego iluzorycznego celu tylko przedłuży wojnę i spowoduje więcej cierpienia”. Podzielanie takiej opinii jest oczywiście niepoprawne politycznie, ale niestety trzeba przyjąć do wiadomości, że Rosja dobrowolnie zajętych terytoriów nie zechce zwrócić, a Ukraina wraz z sojusznikami siłą nie jest w stanie jej do tego zmusić. Takie stanowisko Waszyngtonu przez wielu zostało zinterpretowane jako wręcz zdrada słusznej sprawy, ale przecież oznacza ono tylko tyle, że nie ma sensu toczyć wojny, która jest nie do wygrania. No, chyba że ktoś twierdzi, że jeszcze trochę, a się uda. Takich poglądów nie brakuje. Już kilka razy



styszeliśmy, że jakaś następna ukraińska ofensywa przeprowadzana przy zagranicznym wsparciu wypędzi rosyjskich najeźdźców z zajętych ziem, łącznie z Krymem. Ile miałyby to „jeszcze trochę” potrwać? Kolejne trzy lata? A może 13 albo 30? Ile ofiar musiałoby to za sobą pociągnąć? Już bardziej realistyczne jest liczenie na to, że szybciej ktoś zastąpi władzę na Kremlu, bo Putin to nie geografia; nie jest wieczny. To historia, która przemija.

Natychmiast po amerykańskich deklaracjach odnośnie do zamiarów i sposobów zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej w przestrzeni medialnej odezwały się głosy porównujące bardzo mgliste wtedy jeszcze konsekwencje propozycji przedstawionych w Monachium przez wiceprezydenta Vance’a oraz sekretarza Hegsetha

i Rubia do jakichś nasuwających się na myśl sytuacji z przeszłości. Jak to bywa w niecodziennych okolicznościach, w których nie za bardzo wiadomo, o co tak do końca chodzi, szuka się analogii w historii. I znajduje się je tam, nawet jeśli zbytnio nie grzeszą trafnością i przenikliwością. I tak w światowych mediach miliony razy pojawiły się Monachium z roku 1938 i Jałta.

Krymski syndrom

Swoją drogą to zastanawiające, że chyba nikt przy tej okazji nie zwrócił uwagi na fakt, iż Krym, na którym leży Jałta, był wtedy, w 1945 r., we władaniu Rosji stanowiącej tron Związku Radzieckiego. Na omawiającej kształt powojennego świata konferencji, której gospodarzem był Józef Stalin, Franklinowi D. Rooseveltowi, prezydentowi USA, i Winstonowi Churchillowi, premierowi Wielkiej Brytanii, przez głowę nie mogła przejść myśl, że są na Ukrainie, a nie w Rosji. Dopiero w 1954 r. Krym został przekazany z Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej do Ukraińskiej SRR. Do dziś nie ma jednoznacznej opinii, dlaczego tak się stało. Wtedy wydawało się to nie mieć większego znaczenia; przecież i tak ten piękny kawałek nadczarnomorskiej ziemi należał do ZSRR, który miał trwać wiecznie... Gdyby ówczesny radziecki przywódca Nikita Chruszczow wiedział, że twór ten rozpadnie się po 37 latach, w roku 1991, ani chybi Krym pozostałby formalnie i legalnie rosyjski i nie musielibyśmy współcześnie głowiąc się, jak wybrnąć z głębokiego

impasu. W międzyczasie wiele się działo odnośnie politycznego statusu Krymu, zdecydowanie zdominowanego przez ludność rosyjską. Jeszcze pod koniec epoki ZSRR, 20 stycznia 1990 r., odbyło się tam referendum, w którym uczestniczyło 81,73% uprawnionych. Na pytanie: „Czy jesteś za odtworzeniem Krymskiej Autonomicznej SRR jako podmiotu ZSRR i uczestnika związkowej umowy?”, aż 92,26% odpowiedziało pozytywnie. Nie posłuchano głosu ludu.

Prawie dokładnie 35 lat później opiniotwórczy „The Economist” zadaje inne pytanie: „(...) Czy to, co nastąpi, będzie najbardziej przypominało inną konferencję, monachijską z 1938 r., kiedy Neville Chamberlain ugiął się pod ambicjami Adolfa Hitlera; Jałtę z 1945 r., kiedy Ameryka, Wielka Brytania i Związek Radziecki podzieliły Europę; czy coś lepszego. (...) Gdy rzeczywistość błyskawicznego ruchu prezydenta Trumpa dotarła do ludzi, niektórzy europejscy przywódcy zaczęli obawiać się, że prawdziwym porównaniem dla planów Ameryki może być Jałta i nowy podział Europy na zachodnią i rosyjską strefę wpływów”. Niesłuchanie naciągane są te analogie, bo obecnie sytuacja jest zgoła odmienna. Ale może ktoś jeszcze się odezwie, dopatrując się podobieństwa między spotkaniem

Niech mieszkający w Ukrainie ludzie sami zdecydują w referendum, w którym państwie chcą żyć.

najwyższych rangą dyplomatów amerykańskiego i rosyjskiego, Marca Rubia i Siergieja Ławrowa, w Rijadzie w lutym 2025 r. a poprzedzającym Jałtę szczytem w Teheranie na przełomie listopada i grudnia 1943 r.? Przecież Rijad i Teheran rozdzielają tylko kawałki pustyni i wody Zatoki – dla jednych Arabskiej, dla drugich Perskiej. A tak naprawdę od tamtych czasów dzieli nas szmat historii i zamiast szukać fałszywych analogii, lepiej skupić się na poszukiwaniu ścieżek prowadzących jak najkrótszą drogą do pokojowej przyszłości.

Trzy trójkąty

Czy krokiem prowadzącym w tym kierunku było nawiązanie przez amerykańskiego prezydenta kontaktu z rosyjskim prezydentem? To się okaże, bo przecież nikt – łącznie z samym Trumpem, który zatelefonował do Putina – tak do końca nie wie, ani o co tu chodzi, ani co z tego wyjdzie. „The Economist” okładkę z datą 22 lutego 2025 r. ilustruje rysunkiem, na którym

Naiwnością byłoby dawanie wiary, że USA dobrze życzą Rosji, a zwłaszcza Chinom.

tylko oni dwaj rozmawiają, siedząc za długim stołem, przy którym wszystkie pozostałe krzesła są puste. Wyeksponowany jest też krzyczący tytuł: „Najgorszy koszmar Europy”. Pod nawąłem płynących z rozmaitych stron głosów przerażonych brataniem się Trumpa z Putinem wiceprezydent Vance usiłował wytłumaczyć postępowanie Białego Domu, pisząc: „Negocjujemy zakończenie konfliktu. To jest «ustępstwo» tylko wtedy, gdy ktoś uważa, że Ukraińcy mają wiarygodną drogę do zwycięstwa. Nie mają, więc to nie jest [ustępstwo]”.

Jednakże i tym razem sprawa jest dużo bardziej złożona. Podczas gdy w kontekście kontaktów Waszyngtonu z Moskwą uwaga komentatorów

politycznych i medialnych skoncentrowała się na relacjach zachodzących w drugim wielkim geopolitycznym trójkącie, a mianowicie Stany Zjednoczone – Rosja – Unia Europejska (pierwszy to trójkąt Stany Zjednoczone – Chiny – Unia Europejska), Amerykanom może chodzić o coś innego, dla nich bardzo ważnego, a być może najważniejszego – o stosunki z Chinami. Ewentualne kontrolowane zbliżenie amerykańsko-rosyjskie należy postrzegać jako element gry w trzecim fundamentalnym trójkącie geopolitycznym: Stany Zjednoczone – Chiny – Rosja.

Naiwnością byłoby dawanie wiary, że USA dobrze życzą Rosji, a zwłaszcza Chinom. Otóż obu im życzą źle. I dla urzeczywistnienia tych życzeń będą się uciekać do wszystkich możliwych sposobów, aby psuć stosunki chińsko-rosyjskie. Im będą one gorsze, tym łatwiej Ameryka będzie Great Again! Już kiedyś, w latach 70., Waszyngtonowi udało się wbić klin między Pekin i Moskwę. Miało to daleko idące konsekwencje

geopolityczne sprzyjające wzmocnieniu światowej pozycji USA. Architektem tamtej strategicznej gry był Henry Kissinger, sekretarz stanu w administracji prezydenta Richarda Nixona. Problem w tym, że aktualny sekretarz stanu Marco Rubio ze swoimi publicznie demonstrowanymi skrajnie antychińskimi sentymentami to nie wysublimowany Kissinger z jego dyplomatyczną gracją.

Trumpizmowi, który pogrywa z Chinami i Rosją na zgoła różne sposoby, nie uda się ich skłócić. Przy wszystkich swoich wadach w Pekinie i Moskwie są na to za mądry. Z punktu widzenia amerykańskiego hegemonizmu waszyngtońska strategia okaże się chybiona. Koniec końców wrogi kurs USA wobec Chin ich nie ostabi, ponieważ pod jego wpływem modyfikują swoją politykę wewnętrzną i zewnętrzną w sposób, który z czasem jej relatywnie wzmocni. Zarazem drastyczny zwrot, jakiego dokonała administracja prezydenta Trumpa, w porównaniu z postępowaniem jego poprzednika w stosunku do Rosji, już relatywnie Rosję wzmocnia. Zapewne nie uczyni to jej wielką znowu – great again! – na czym poza nią samą nikomu nie zależy, ale nie zapobiegnie kroczenia Chin do tego, że będą jeszcze większe, niż są.

Ludzie niech decydują

Kłębowski sprzeczności ukraińsko-rosyjskich toczyć będzie się latami. Najważniejsze, aby toczyło

OPINIE

► się pokojowo. Gdy już przestaną strzelać, gdy przestaną latać drony i rakiety, gdy przestaną spadać bomby, najważniejsze będą kwestie terytorialne. Doświadczenia pokazują, że ich rozwiązywanie może ciągnąć się dekadami, jak tego doświadczyli mieszkańcy Erytrei, Timoru Wschodniego, Kosowa czy Sudanu Południowego, zanim uzyskali państwową niezależność odpowiednio w 1991, 2002, 2008 i 2011 r. Zapytano ich wszakże w powszechnych głosowaniach, w refe-

uznania. Powinien tak uczynić, a inni powinni go poprzeć.

Co zaś do zajętych przez Rosję terytoriów formalnie stanowiących część Ukrainy, to należy tam powtórzyć referendum w sprawie autonomii bądź preferowanej przynależności państwowej. Tym razem powinny one odbyć się pod uzgodnioną przez zainteresowane strony kuratelą międzynarodową, a większościowe decyzje ludności zamieszkującej sporne terytoria – łącznie z ludnością, która stamtąd uszła ze względu na

współistnienia Rosji i Ukrainy w Związku Radzieckim.

Wszystkie powyższe myśli to dosłowny (bez przypisów, z dodanymi śródtytułami) fragment mojej książki „Trump 2.0. Rewolucja chorego rozsądku” opublikowanej na początku kwietnia przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Sądzę, że warto je przywołać przy okazji zamieszania, jakie wywołało bezpośrednio spotkanie prezydentów Trumpa i Putina w Anchorage na pięknej Alasce. Z tej dramatycznej sytuacji wszyscy chcą wyjść z twarzą. Cóż, tak generalnie i wszystkim to się nie uda, ale udać może się przynajmniej po części – we własnym kraju, w swoich kręgach. Najlepszy na to sposób to zaprzestanie śmiercionośnych walk, ogłoszenie rozejmu i pozostawienie sprawy państwowej przynależności terytoriów ukraińskich zajętych przez Rosję zamieszkującym tam ludziom. Niech oni zadecydują w referendum, w którym państwie chcą żyć. To jedyne sensowne – bo pokojowe i, wydaje się, możliwe do zaakceptowania przez wszystkie zaangażowane strony, w tym zwłaszcza przez Kijów i Moskwę – wyjście z sytuacji bez wyjścia.

Grzegorz W. Kołodko

Rooseveltwi i Churchillowi przez głowę nie mogła przejść myśl, że są na Ukrainie, a nie w Rosji. Dopiero w 1954 r. Krym został przekazany do Ukraińskiej SRR.

rendach, jakiej pragną państwowości. Poza Timorem granicznych problemów tam nadal nie brakuje, ale przynajmniej nie zabijają się masowo. Gdzie indziej politycznej niepodległości wciąż nie osiągnięto, m.in. w północnej części Cypru czy w Somalilandzie. Te sprawy teraz wróć i wcale się nie zdziwię, jeśli akurat prezydent Trump popchnie do przodu kwestie ich niepodległości oraz międzynarodowego

toczone walki, a która powinna być uprawniona do udziału w głosowaniu – powinny być respektowane przez Rosję i Ukrainę oraz uznane w prawie międzynarodowym. Jeśli takie rozwiązanie udałoby się wynegocjować skonfliktowanym stronom przy udziale Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej, byłaby to wielka sprawa. Jeśli nie, to konflikt zostanie zamrożony i może trwać nawet dłużej niż 70 lat (1922-1992)